

JAKI JESTEŚ CZYTELNIKU WIEJSKI?

¹/₃ księgozbioru bibliotek powszechnych,
²/₃ ogółu czytelników,
86 proc. bibliotek,
98 proc. punktów bibliotecznych w woj. rzeszowskim znajduje się na wsi.

Wskaźniki rosną. Wskaźniki pięknieją z każdym miesiącem i rokiem. Dziesiątki tysięcy nowych czytelników. Tysiące nowych tomów kupowane za miliony złotych. Magiczna liczba procentu, jaki stanowią czytelnicy bibliotek w społeczeństwie wspina się w górę po wspaniałej drabinie stytystyki.

Nie jestem wrogiem statystyki. I nie mam nic przeciwko bibliotekarzom (rkom) rzeszowskim, którzy swoje czołowe miejsce w rozwoju czytelnictwa osiągnęli nie lada wysiłkiem i bynajmniej nie w cieplarnianych warunkach. Mam dla ich pracy, która jest właściwie szczytnym społecznym posłannictwem głęboki szacunek i uznanie. Obawiam się jednak, że w ostatnim okresie statystyka stała się nie tyle bodźcem, co obciążeniem w ich pracy; elementem wyzwalającym tendencje do sportowej wręcz rywalizacji o wyniki, a jednocześnie nadającym jej zbyt wiele cech powierzchowności i formalizmu. Miłe dźwięki liczb słuchane przy różnych uroczystych okazjach, przepiękne obrazy tabel i wykresów zdają się przesłaniać nam w znacznym stopniu — a zjawisko to obserwuje się w skali całego kraju — tego, kto jest celem całej działalności — Czytelnika. Na akademiowych imieninach, wznosząc toasty zapominamy o solenizancie.

Mam wrażenie, że w ogóle mówimy o nich zbyt mało. Rzadko dzielimy się swoimi spostrzeżeniami na temat jego gustów, upodobań i możliwości, swoimi doświadczeniami z pracy nad ich kształtowaniem.

Był czas, że wdychaliśmy mówiąc: Czytelnik wiejski nie odbiera literatury współczesnej, uznaje tylko stare autorytety literackie, czyta Kraszewskiego, Sienkiewicza, Orzeszkową, Prusa, Orkana i kilku innych. Mówiliśmy tak dopóki nie odkryto, że dzieła owych doskonałych autorów stanowią lwią część księgozbiorów bibliotek wiejskich i oprócz popularności, także konieczność odgrywała rolę w ich pożyteczności. Ludzie po prostu nie mieli innego wyboru.

Obecnie słyszymy coś innego: rośnie liczba wypożyczeń literatury najnowszej, wieś nabiera przekonania do autorów współczesnych, świadczą o rozwoju i wyrobieniu czytelników etc. etc.

Nie przeczę. To wszystko możliwe, bo rzeczywiście zapiski w kartach bibliotecznych nowych książek gęstnieją. Ba, żeby tylko...

Jestem w gromadzkiej bibliotece na wsi sanockiej. Kolejny odwiedzający, młoda 20-letnia dziewczyna pyta:

- Czy można dostać jeszcze coś Hemingwaya?
- Nie ma.
- A „Cichy Don”?
- Jest tylko czwarty tom, reszta w czytaniu.
- To może „Los człowieka”?
- W ogóle nie mamy...
- A Andrzeja „Popiół i diament”?
- Mamy tylko „Ład serca” tego autora.
- Dziewczyna poddaje się. — To może mi pani sama coś wybraćze.

Korzystając z uprzejmości kierowniczkę przeglądamy karty książek. „Cichy Don” — siedem wypożyczeń w ciągu 10 miesięcy. „Moja mama, ja i rektora” Turka — 7. „Wojna, ludzkie i medycyna” Małewskiego — 7. „Off limits” Hansa Habe — 8. „Córka tego, co tramwaje jego” Chruszczewskiej — 7. „W słońcu” J. Kawalca — 5. Są to największe cyfry wypożyczeń w tej bibliotece. Jednocześnie stwierdzam, że nikt w roku bieżącym nie sięgnął po książki Dumasa-ojca („Józef Balsamo”, „Hrabina de Charny”), że z bogatego zestawu dzieł Londona wypożyczono zaledwie 2 książki, że leżą nie czytane książki na ob-

szerszej półce z Kraszewskim. Lem bije na głowę Julesa Verne’a!

Z książkowych kart i wypowiedzi czytelników przebiega ciekawe zjawisko — przemijanie mody na poszczególne tytuły, bądź po prostu „wyczytanie” książki. Utwory, które jeszcze 2—3 lata temu miały po 8—10 wypożyczeń leżą obecnie nie-

WITOLD SZYM CZYK

tknięte na półce. Tak jest nie tylko z Dumasem, Prusem czy Kraszewskim, to samo dzieje się już z „Kolumbami” Bratnego, „L jak Lucy” Meissnera czy nawet „Łunami w Bieszczadach” Gerharda. Właśnie owo „wyczytanie” książek sprawia, że czytelnik sięga po rzeczy nowe, po literaturę ostatnio wydawaną i zakupioną przez biblioteki.

— Redaktorze, mówi mi kilkudziesięcioletni rolnik z Beska Stanisław Sliwa — ja te stare książki to już po 2—3 razy przeczytałem, a niektóre to już niemal na pamięć znam.

— A co się najbardziej podobało? — pytam.

— Ze starych pisarzy wiadomo — Sienkiewicz, Kraszewski, Prus, a z nowych — Bunsch, Hemingway, Dostojewski. No, jeszcze książki o partyzantce, człowiek może porównać pisane z tym co sam widział.

— Nowe książki? Z tym jest różnie, jedne są dobre, drugie nie nie warte, jak się trafi. Czasem to człowiek się położy i rzuci, ale nie powiem, są i takie, że się nie śpi, lecz czyta.

Sliwa nie jest czytelnikiem typowym. Tylko w tym roku przeczytał 68 książek z biblioteki, nie licząc pożyczanych prywatnie.

Młoda mężatka Bronisława Ziemiańska powiada:

— Jak byłem młodsza, to lubiłam książki historyczne, podróźnicze i fantastyczne. Takie niby budzą Verne’a, a podobały mi się. Dziś też chętnie poczytam o egzotycznych krajach, ale interesuje mnie co innego: życie człowieka, jego losy i przejęcia, to jak postępuje w różnych sytuacjach. Tak jak to pisze Hemingway i Dostojewski, ale ich książki w bibliotece jest bardzo mało.

Literatura współczesna? Czasem trafił się coś dobrego, ale najczęściej pisarz kreśli się wokół tematu jak kotek za swoim ogonem, trąca go, dotyka, ale tak naprawdę, to go nie wyczerpuje i na końcu nierazko czuje się zawiedziona. Może to moja wina, za mało czasu, ciętołwość do czytania takich książek. Ale jak nie mogę się nimi entuzjastycznie. Czyta się, bo nie ma nic innego.

Oporzy beskich czytelników z powodzeniem przełamuje bibliotekarka pani Olga Wereszczyńska, umiejętnie podsuwając im ciekawsze pozycje. Jeżeli książka zdobędzie jednego czytelnika — pójdzie dalej do innych. W przeciwnym razie wraca na półki i trzeba próbować od nowa.

Ale tak nie jest wszędzie. Oto biblioteka w O. Uważana za jedną z lepszych w powiecie, dobrze wyposażona. Wskaźnik czytelnictwa wysoki: 30 proc. mieszkańców korzysta z jej książek. Księgozbiór może wzbudzić zazdrość. Na półkach m. in. „Grona gniewu” Steinbecka, „Czarodziejska góra” Mann’a, jest Proust, którego daremnie często szukać w mieście, jest „Sezon w Paryżu” Andrzeja Kijowskiego — cóż z tego, kiedy karty tych i wielu im podobnych książek (z wyjątkiem Prousta, którego ktoś wypożyczył raz w ciągu 4 lat) są dziełami czyste.

Tu rekordy wypożyczeń bije inna literatura: „Tajemnice Paryża” Eugeniusza Sue, „Miłość wśród artystów” Shawa, „Miłość niejedno ma imię”, „Jadwiżka i jej zalotnicy” oraz wszelkiego autoramentu powieści kryminalne. Reszta książek raczej rzadko wędruje z półek, na-

wet te z zestawów konkursowych mają zaledwie po 2—3 wypożyczenia, mimo że uczestników konkursu jest pięciokrotnie więcej.

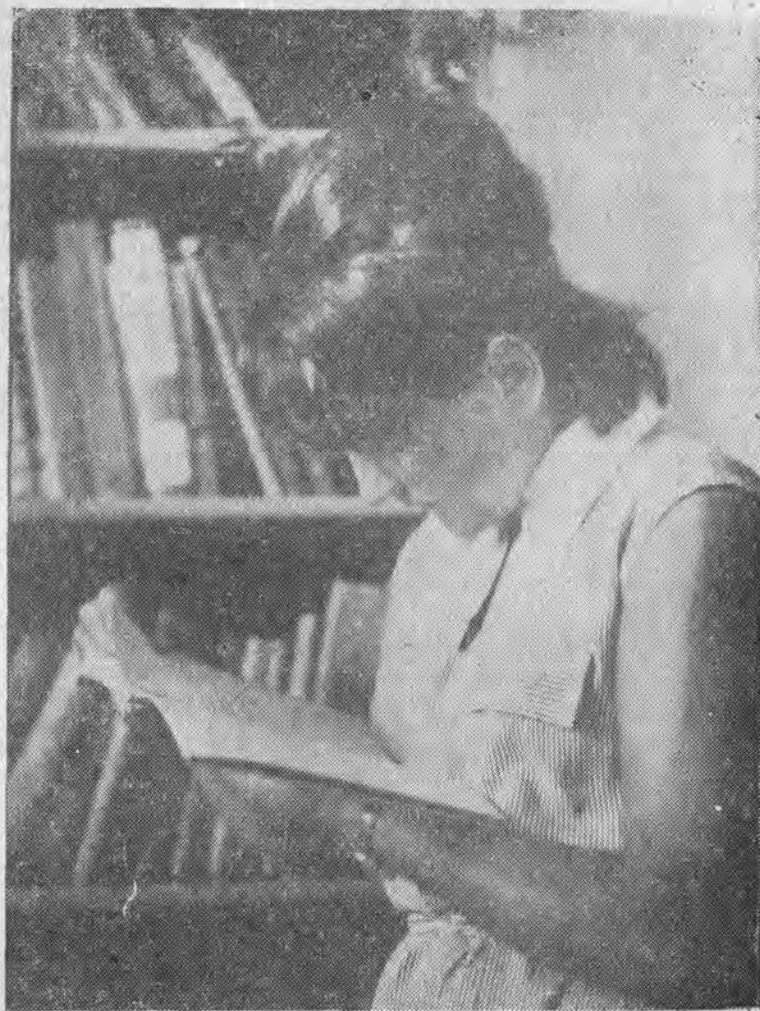
Interesuje mnie czytelnictwo książek pisarzy określanych mianem rzeszowskich. W obu bibliotekach nie jest ono najlepsze (z wyjątkiem wspomnień Romana Turka). Zresztą książek jest bardzo mało, po jednej, dwu pozycjach Wiktora, Piętaka, Bieniasza. Macha nie ma wcale.

Sytuacja w obu bibliotekach jest mniej więcej podobna do tej, jaką zastałem w odwiedzanych poprzednio. Księgozbiór nadal wydaje się być dobierany dość przypadkowo. Brak pozycji podstawowych, na półkach wiele książek, które znalazły się tam chyba skutkiem nieporozumienia. Ilość „cegieł” nietkniętych od chwili zakupu niepokojąco rośnie, a są wśród nich pozycje naprawdę godne czytania.

Czytelnik wiejski nie wybiera lektury z katalogu — pyta raczej o książkę autora, którego już zna, który wydaje mu się pewny, radzi się sąsiadów. Najczęściej jednak udaje się po pomoc i radę do bibliotekarki: od jej umiejętności, od podsuniętej właściwie książki zależy, czy poprosi o następną.

A radio, prasa, telewizja? Niestety, informacje i recenzje pojawiają się tu jak na wiesi zbyt wcześnie. Czytelnik daremnie bę-

(Ciąg dalszy na str. 4)



Fot. M. KOPEC

Przed Dniem Nauczyciela

Humanista na prowincji

Czy nauczyciel na tzw. prowincji jest skazany na rezygnację ze swych ambicji twórczych i utratę kontaktu z szerokim światem? Czy trudna i odpowiedzialna praca pedagogiczna w szkole średniej lub podstawowej wyjaławia umysł i absorbuje wszystkie godziny dnia? Czy małomiasteczkowe środowisko nie zawiera w sobie czynników obездwajniających i tworzących aurę „niemożności”? Trudno zaprzeczyć — bywa tak i to dość często. Nie jest to jednak na szczęście reguła. Bywa bowiem także inaczej. Można wiele lat życia poświęcić pracy nauczycielskiej, wychować co najmniej dwa pokolenia, a równocześnie utrzymywać ścisły kontakt z ludźmi nauki, z poważnymi periodykami naukowymi i wyzywać się z pasją i ambicją w badaniach i studiach dość odległych od dojrzałych potrzeb zawodu nauczycielskiego.

Tak czyni od lat dr Stanisław Gierowski z Krosna. Ścisłym od lat około 40, bo tak już długo jest nauczycielem. Zaczął bowiem pracować jako nauczyciel języka polskiego w gimnazjum kolbuszowskim w roku 1923. W 1928 r. przeniósł się z Kolbuszowej do Krosna i znów w tutejszym gimnazjum uczy aż do roku 1939. Nawiasem mówiąc w Kolbuszowej zastąpił go polonista o nazwisku — Mieczysław Jastrun — lecz nie wytrwał tak długo, gdyż już po roku wyjechał do Łodzi — o czym z humorem opowiada dr Gierowski ponieważ następca to jego rodzony brat.

Po okupacyjnej przerwie (ukrywał się przez cały okres wojny) znów od 1945 roku wraca do szkoły w Krosnie i nawet nominacja w 1949 roku na wykładowcę WSP w Łodzi nie zdołała go z tego miasta i ze szkoły wyrwać. Pozostał im wierny do dziś i do dziś jego szczypta, trochę ptasia sylwetka przemierza przestrzeń między gmachem Liceum Ogólnokształcącego a domkiem na przedmieściu.

O tym wszystkim opowiada mi z humorem w czasie nieco natrętnej dziennikarskiej wizyty w jego mieszkaniu, lecz bez skłonności do roztkliwiania się wspomnieniami z przeszłości; nawet z pewnymi oporami. — „Boję się, bym się nie poczuł stary i zmęczony, gdy sobie przypominam jak już długo pracuję. Przeszłość zresztą nie ma większego znaczenia — czuję się młodo, więc jestem jeszcze młody”.

Ożywił się dopiero w pełni, gdy zaczął mówić o swoich zainteresowaniach filozofią i pracy w tej dziedzinie. Pokazywał zeszyty periodyków filozoficznych, korespondencję z pracownikami naukowymi uczelni i instytutów — mówił o osiągnięciach i planach. Doktora Gierowskiego interesują głównie — już od czasu studiów — zagadnienia religioznawcze. Pierwszą pracę — „Filozofia religii Harald’a Höffdinga” opublikował w „Przeglądzie Filozoficznym” w 1933 r. Później w „Kulturze i Wychowaniu” — „O życiu religijnym Augusta Messera” (1937) i w „Kwartalniku Filozoficznym” dużą rozprawę o Williamie Jamesie jako psy-

chologu i filozofie religii. Po wojnie drukował kilka rozprawek z tego zakresu w „Euhemerze” oraz rozprawę „Realizm krytyczny i pozytywizm” w „Kwartalniku Filozoficznym” w 1949 r.

Mój rozmówca jest zbyt skromny, by szczegółowo mówić o całokształcie swojej pracy naukowej i publicystyczno-literackiej. Dodaje tylko, że wysłał do druku pracę „Problem religii w twórczości Marii Dąbrowskiej” i myśli o rozprawce na temat poglądów filozoficznych Alberta Schweitzera, o którym publikował ostatnio artykuł w „Faktach i Myślach”. Uzupełniam więc od siebie jego relację: ogłaszał sporo recenzji literackich i artykułów w „Polonistyce” i innych pismach — współpracował również z „Nowinami Rzeszowskimi”, pisząc do ich dodatku — „Nowiny Tygodnia”. Za swoją pracę naukową i popularyzatorską uzyskał w 1956 roku nagrodę twórczą woj. rzeszowskiego.

Utrzymuje dość żywy kontakt z środowiskiem literackim, także z młodymi poetami, których doskonale rozumie, m. in. z Jerzym Harasymowiczem. Nic dziwnego, córka dr Gierowskiego — polonistka jak ojciec i stryj (to jednak chyba dziedziczne) również próbowała sił w poezji.

Wracamy jednak do spraw szkoły, do pedagogicznej pracy Stanisława Gierowskiego. Pytam, co w tej pracy daje mu największe zadowolenie. Chyba postawa młodzieży — odpowiada. — Młodzież jest dobra, chce się uczyć, wie na ogół do czego zmierza. Nie podzielam zdania moralistów rzucających gromy na młodzież za cynizm i zdemoralizowanie. Przynajmniej u nas w Krosnie nie widzi się u młodych takich postaw.

Leż to jednak trudów, krzątań i działań na różnych polach mieści się w 40-letniej pracy nauczycielskiej. Dr Gierowski uczy i wychowuje nie tylko młodzież szkolną. Wygłasza liczne prelekcje o literaturze dla nauczycieli i mieszkańców miasta; mówił o Konopnickiej, Żeromskim, Różewiczu, Tuwimie — pełnił także długo obowiązki powiatowego instruktora szkolenia ideologicznego w ZNP. Zdobyl sobie w tej pracy wysokie uznanie jako doskonały popularyzator wiedzy humanistycznej.

Z żalem opuszczam po długiej gawędzie jego mieszkanie. Rozmowa okraszona świetnymi dowcipami, soczystymi anegdotkami ze wspomnień, a przede wszystkim pogodą ducha świetnie działa na moje samopoczucie. Działa doskonale także i dlatego, że dr Gierowski rozbił swoją postawą mit o destruktywnym działaniu prowincji na ambicje twórcze i związek z szerokim światem nauczyciela.

ALLAN SILLITOE: Dobry pisarz nie obawia się telewizji...

Na łamach belgradzkiej „Polityki” z Allanem Sillitoe, autorem licznych dzieł, „Klucz do drzwi” i in.

ukazał się interesujący wywiad powieści, m. in. „Z soboty na nie-”

— Czy mógłby nam pan opowiedzieć o początkach swej drogi literackiej?

— Trudno mi mówić o początkach mojej pracy literackiej, sam nie wiem, jak to się stało. Leżałem dwa lata w szpitalu i nie miałem nic do roboty prócz czytania i pisania. Sądzę jednak, że początki sięgają głęboko w przeszłość. Pobyt w szpitalu dał mi tylko dużo czasu. Mogłem zastanawiać się nad minionymi latami. Kiedy miałem 6 wdziesiąt lat pracowałem na Malajach jako radiotelegrafista. Prowadziłem życie bardzo samotne. Ten samotny pobyt miał wpływ na rozwój mego charakteru. Samotność wprawdzie pomaga pisarzowi, ale jest zła, ponieważ człowiek samotny czuje się oderwany od ludzi nawet wówczas, gdy się znajduje w otoczeniu milio-”

— Trudno mi mówić o początkach mojej pracy literackiej, sam nie wiem, jak to się stało. Leżałem dwa lata w szpitalu i nie miałem nic do roboty prócz czytania i pisania. Sądzę jednak, że początki sięgają głęboko w przeszłość. Pobyt w szpitalu dał mi tylko dużo czasu. Mogłem zastanawiać się nad minionymi latami. Kiedy miałem 6 wdziesiąt lat pracowałem na Malajach jako radiotelegrafista. Prowadziłem życie bardzo samotne. Ten samotny pobyt miał wpływ na rozwój mego charakteru. Samotność wprawdzie pomaga pisarzowi, ale jest zła, ponieważ człowiek samotny czuje się oderwany od ludzi nawet wówczas, gdy się znajduje w otoczeniu milio-”

— Co mógłby pan powiedzieć o sytuacji współczesnej literatury angielskiej?

— Sądzę przede wszystkim, że współczesna literatura angielska nie daje odpowiedzi na najważniejsze problemy nurtujące społeczeństwo. Pisarze angielscy podzieleni są na dwa obozy. Jedni, zwłaszcza dramaturdzy, piszą realistycznie o życiu współczesnym. Gdybym się uważał za członka jakiejś grupy, to moje miejsce byłoby wśród takich autorów, jak John Osborne, Arnold Wesker, John Arden. Drugą grupę reprezentują ci pisarze, którzy trzy-

— Chcielibyśmy usłyszeć pańskie zdanie na temat literatury innych krajów.

— Sądzę, że w ciągu ostatnich dwudziestu lat literatura francuska nie miała większego wpływu na literaturę angielską. Na mnie osobiście wpływ mieli Camus i Sartre. Z literatury francuskiej cenię najwięcej Natałę Sarraut. Jeżeli chodzi o literaturę amerykańską uważam, że warto czytać tylko poezję. Trudno mi mówić o współczesnej literaturze radzieckiej. Poza Szolochowem i Gorkim znam niewiele powieści innych pisarzy. Na specjalną uwagę zasługują młody powieściopisarz Wasyl Aksjonow, autor powieści „Koledzy”, którą można uznać za największe osiągnięcie we współczesnej literaturze światowej. Sądzę, że w dziedzinie poezji powstaje w Związku Radzieckim wiele wspaniałych dzieł. Do moich ulubionych poetów zaliczam Jewtuszenkę, Wozniesińskiego i Rożdżestwenskigo.

— Na Zachodzie mówi się często o kryzysie powieści współczesnej. Jak jest pana zdanie w tej sprawie?

— Sądzę, że te wszystkie teorie wynikają z obawy pisarzy przed telewizją. Boją się, że telewizja, która odgrywa tak dużą rolę jako środek masowego przekazu, wyruguje literaturę. Prawdziwy pisarz nie powinien obawiać się telewizji.

— Sądzę, że te wszystkie teorie wynikają z obawy pisarzy przed telewizją. Boją się, że telewizja, która odgrywa tak dużą rolę jako środek masowego przekazu, wyruguje literaturę. Prawdziwy pisarz nie powinien obawiać się telewizji.

„Drzewa umierają”



Fot. FR. MYSZKOWSKI

Zdaje się, że ktoś nazwał Mieczysławę Cwiklińską „wielką damą teatru polskiego”. Jakże trafne miano dla artystki, która od kilkudziesięciu lat reprezentuje to, co w naszym teatrze najlepsze — wysoką kulturę duchową, osobisty wdzięk, wrodzony humor, a przede wszystkim wielki talent aktorski wspierany godną podziwu pracowitością. Tymi przymiotami zdobiła sobie trwałe miejsce wśród wielkich mistrzów naszej sceny i w historii polskiego teatru.

dobrodusznym kobiet z ludu czy sędziwych matron z arystokracji. Wszystkie na wskroś ludzkie, autentyczne, tworzone z wielką prostotą i oszczędnością środków wyrazu, czasem żywiołowo komiczne choć bez śladu szarży.

Mija 65 lat jej niestrudzonej działalności na scenach polskich i 85 lat życia, a mimo to artystka z godną podziwu wytrwałością wędruje po całym kraju niosąc widmom najdalszych miast i osiedli radość i wzruszenie. Iłż to kreacji, iłż to wielkich przegód teatralnych przeżyła Cwiklińska od lat debiutu do dzisiaj. Błyszczała jako gwiazda operetki obok Lucyny Messal i Wiktorii Kaweckiej. Nadawała swoimi kreacjami sens i barwę życia blahym często farsom i komediom bulwarowym. Występowała w 30 filmach polskich z lat międzywojennych (m. in. „Straszny dwór”, „Granica”, „Wrzós” i „Dziewczeta z Nowolipiek”). Stworzyła wielkie kreacje komediowe w klasycznych utworach scenicznych polskich i obcych: w „Skizie”, „Moralności Pani Dulskiej”, w „Panu Jowińskim”, w „Panu Damazym” Bliźnińskiego czy „Ożenku” Gogola — w komedii „Mądremu biada” Gribojedowa, w „Uczonych bibliogłowach” i „Mizantropie” Moliera.

Od kilku lat Mieczysława Cwiklińska występuje w sztuce dramaturga hiszpańskiego Alejandra Casony pt. „Drzewa umierają stojąc”. Z tą nową, właściwie w jej dorobku scenicznym, niespotykaną w tym rodzaju kreacją — odbywa tournée po całej Polsce. Na zaproszenie rzeszowskiej Estrady zespołu Teatru Małego, w którym artystka występuje, przybył również do Rzeszowa. Widzowie rzeszowscy oglądali kilka dni temu ten spektakl na scenie Teatru im. Wandy Siemaszkowej.

W wielkiej serii swych wcieleń scenicznych tworzyła artystka postaci bezdusznych lalek, wspaniałych lwic salonowych, rubasznych i

Aleksander Casona — poeta i dramaturg jest hiszpańskim antyfaszystą. Był żołnierzem armii republikańskiej, a w 1939 r. wyemigrował do Argentyny. Klimat jego twórczości poetyckiej i dramatycznej zbliża się do poezji Federica Garcii Lorki — jest to poetycki klimat Asturii. W Polsce znamy go jako autora wyżej wspomnianej sztuki, której premiery odbyły się przed kilku laty w dwu teatrach: w Teatrze Klasycznym w Warszawie z Cwiklińską w głównej roli i w Teatrze Żydowskim z Ida Kamińską.

Główna jej wartość polega na znakomitej teatralności, a nie na odkrywczości literackiej czy psychologicznej. Doskonałe, ze świetnie zarysowanymi postaciami i żywą akcją, utrzymana w tonie subtel-

JAN KURCZAB: Byłem w Dębicy

Każdorazowe moje spotkanie z ziemią rzeszowską rodzi we mnie potrzebę głośnego powiedzenia o wrażeniach z pobytu, nawet jeśli pobyt mój, jak ostatnio, trwał zaledwie dwa dni. Tym razem była to Dębica i trzy wsie okoliczne, każda zaledwie o kilkanaście kilometrów od miasta. Zaroszone do wzięcia udziału w otwarciu roku kulturalno-oświatowego, uczestniczyłem kolejno w czterech tego rodzaju inauguracjach. Czterokrotnie wysłuchałem wstępnych referatów, obrazujących osiągnięcia ziemi rzeszowskiej w dziedzinie rozwoju bibliotekarstwa, czytelnictwa. Dwadzieścia lat pracy, dziesiątki bibliotek i punktów bibliotecznych, każdy z setkami i tysiącami czytelników. Setki tysięcy woluminów. Świadomie omijam szczegółowe wykazy, nie chcąc cyframi wyrazić nieufności do ich wymowy. Bo tak już jakoś bywa, że im więcej tych cyfr, tym mniejsze zdumienie ich ważkością. Uderzał jednak w tych referatach postępek, oszalał rozwój, urzekały osiągnięcia. Referat — to może za wiele dla określenia owej kilkunastu relacji. Najwidoczniej autorzy — może zresztą autor — chcieli uniknąć znudzenia słuchaczy. Myśle jednak, że nie znudzili, lecz zaskoczyli. Przynajmniej mnie. Może słuchacze owych czterech, kolejno odwiedzanych klubów, już od długiego czasu żyli się z dobrymi skutkami rozwoju czytelnictwa na wsi, może owe referaty były jedynie potwierdzeniem znanej im z dnia codziennego prawdy. Jednak — wspierając się w ten dwudziestoltni szlak biblioteczny, przynajmniej do

uczucia pełnego podziwu i uznania dla orędowników tego szlaku. Widzę ich, rozmawiam z nimi o ich codzienności, z pewnym trudem rozmarstwiłem ich skromność. Chcę dobrać się do tego gorącego w nich miejsca, z którego czerpią swój upór, swoje zadowolenie z osiągnięć, swoją wolę do rozrzędzania obojętności. Nic z moich wysiłków. Z ich skromnych wypowiedzi wyczytuję jedynie to, co sam mogę zaobserwować. Dopiero w momentach, gdy zatłoczone salki nie mieszczą w sobie ani jednego przybysza więcej, gdy przy drzwiach wejściowych rosną spóźnionych, wtedy wystarczy spotkać się ze wzrokiem jednej czy drugiej pracownicy bibliotek Polskiej Terenowej, aby otrzymać odpowiedź na wszystkie, skromnie omijane pytania.

Byłem zatem, jak wspominałem, w trzech wiejskich klubach, w sobotnie i niedzielne popołudnia. W każdym radio i telewizor, w każdym tłum niedcierpliwie wyczekujący przyjazdu zapowiadzanego prelegenta, w każdym natychmiastowa gotowość zrezygnowania ze słuchanych czy oglądanych audycji. Ludzie chcą żywego słowa. Czekają na nie z rosnącą z roku na rok chłonnością. W Lipinach i Łąkach otwarcie owego roku kulturalno-oświatowego było rzeczywistym świętem. Jedną z prawdziwych uroczystości dnia. Nam, ludziom nasyconym imprezami kulturalnymi wielkich ośrodków miejskich, aż trudno uwierzyć, jak ważną rolę może odegrać tego rodzaju uroczystość na wsi, która przecież od dawna przestała być zabita, odgradzona deskami od świata. Nas wciąż na nowo zaskakuje dobrze urządzone świetlica

czy klub, a każda rozmowa, potwierdzająca rozwój czytelnictwa, każde spotkanie z przeczytanym przez wielkość czytelnika tytułem budzi szacunek. Zdaje mi się, że mamy dość skryzalizowane pojęcie, wyobrażenie o dniu pracy mieszkańca wsi, nasz szacunek wywodzi się właśnie z podziwu, że potrafił on wykroić ze swojego trudnego dnia czas na czytanie książek, że jednak, trochę podobnie do ziarna, kiełkuje w nim ów złoty kłos biblioteczny, o którym mowa corocznie przy okazji konkursów. Wierzymy konkursom, spotkac jednak tę ciekawość świata na co dzień, w przypadkowym styku to i dobrze, i celowo.

Piszę do was o tym koledzy z „Nowin Rzeszowskich”, bo szukam najprostszej drogi do wyrażenia mujej wdzięczności, nie, nie za to, że mnie zaprosili, przynajmniej nie przede wszystkim za to, ale za to, że są w tych odległych miejscowościach pracowite osoby, zdaje się wszystkie rodzaju żeńskiego, spełniające w najzupełniejszej skromności swoją rolę łączniczek między autorem a czytelnikiem. Gdyby to ode mnie zależało, wyposażyłbym je w szczególnej przywileje, adekwatne do szczególnej misji, jaką spełniają. Z konieczności ograniczyć się jednak do słów podziękowania za bardzo ujmującą gotowość, z jaką umożliwiają nam zerknięcie się z terenem i może jeszcze za te ich rozjaśnione twarze przy zapamiętanych do ostatniego miejsca salkach. I za ten związek, zaledwie kilkunastu referat, będący sprawozdaniem z długich dwudziestu lat bardzo uporczywej i nielekkiej pracy w terenie. I za wyniki tej pracy.



CAF — UCHYMIAK

Nie podam nazwy miejscowości, w której rzecz się dzieje, dla powodów, wynikających z dalszego toku niniejszej opowieści. Istnieje w tej miejscowości dobrze wyposażony Powiatowy Dom Kultury, a w nim prowadzona jest nauka muzyki. Jest więc nauczyciel i są instrumenty, ale nie wszystkie, brak na przykład instrumentów do tzw. mocnego uderzenia. Jest to szczegół istotny.

I oto zjawia się pewnego dnia w tym Domu Kultury kilku młodzieńców, którzy oświadczają, że pragną uczyć się gry — powiedzmy — na perkusji i gitarach elektrycznych, a więc na instrumentach najgłośniejszych, co nie zawsze równoznaczne jest z kulturalnym muzykowaniem.

Młodzieńcy nie byli w wieku szkolnym — rzecz łatwa do ustalenia; młodzieńcy nie należeli do układowych i grzecznych — widać to po sposobie ich bycia, ale ludzie, rozmawiający z nimi i mający zdecydować, jak postąpić, zdobywają się na dość śmiałą decyzję: wyrażają zgodę na podjęcie nauki w lokalu Domu Kultury. Dom nie posiada jednak instrumentów, o jakich mówią młodzi ludzie, znani zresztą kierownictwu Domu. Wiadomo, że ci młodzieńcy przez rok, dwa, a nawet trzy przebywali poza miastem (ale nie na wsi), w mieście zupełnie innym i w instytucji, która zamyka swe bramy nie tylko na noc. Owszem — powiadają kierownicy Domu, możemy wam pomóc, damy nauczyciela, lokal, nie posiadamy jednak ani instrumentów, o jakich mowa, ani funduszy na ich zakupienie. Jeżeli je kupicie, prosimy bardzo.

Młodzieńcy mają podjąć ważką decyzję: kierownictwo Domu mówi wyraźnie o kupnie instrumentów, a zaraz potem stawia pytanie, wkraczające niejako w sferę osobistych spraw tych młodych ludzi. A wy-

skąd zamierzacie wziąć pieniądze na zakup instrumentów? Kierownicy chcą wiedzieć dokładnie a gdy nie otrzymują odpowiedzi jasnej śpieszą z radą: my wam się wystaramy o takie zajęcia, które wam przysporzą pieniądze i umożliwi kupno instrumentów. Wówczas młodzi zor-

STANISŁAW WYGODZKI

EKSPERYMENT

organizowali Brygadę Ochotniczą Hufców Pracy, która przyjęła prace zleczone: wiórkowanie podióg w różnych instytucjach, plantowanie terenów Zarządu Miejskiego, zakładanie zieleńców. Gdy któryś z uczestników nie zjawiał się do pracy, kierownicy grup wyruszyli „na miasto” i ścigali opornych. Prace wykonano, za otrzymane pieniądze zakupiono sprzęt, pozostawiono go w PDK, gdzie się odbywają normalne zajęcia. Lecz na tym nie koniec.

Rozumni kierownicy PDK oddali młodym ludziom swoją estradę i salę, w której ci występują obecnie jako zorganizowany zespół wokalno-muzyczny. Ponieważ miasto jest nie wielkie i nie posiada innych zespołów, nasi młodzi muzycy wypełniają część artystyczną akademii róż-

nych uroczystości, grają na zabawach w mieście i w oddalonych osiedlach — bezpłatnie.

Muzyka potrafi połączyć i zespolić ludzi — wiadoma rzecz, tych młodych ludzi również zespolą, ale nie są to związki trwałe, skoro jeden spośród nich wrócił na obszar po-

rzucony przez kolegów. Na ten obszar ciągnie przeszłość, pchają ludzie, swoi i obcy. Każdy wybrzyk chuligański w mieście przypisywany jest z góry tym ludziom, każdy rozbity kiosk powinien lub musi być ich dziełem. A tak wcale nie jest. Mimo to oczy niektórych ludzi stale są zwrócone ku tym młodzieńcom. Ich wina jest niejako automatyczna, ponieważ byli kiedyś karani. Toteż oni wędrują do komisariatu, gdzie na szczęście urzęduje rozumny komendant posterunku MO. Łatwo bowiem sięgnąć do środków znanych, ale ci młodzi odchodzą właśnie od „środowniska”. Ich rozmowy z władzą odbywają się na płaszczyźnie prawnej, wiedzą, gdzie jest bariera której nie wolno przekroczyć, by się ponownie nie zna-

leż poza społecznością. A tą społecznością są obecnie również widzowie i słuchacze, odwiedzający PDK — miejsce ich działalności.

Eksperyment, o którym piszę, jest śmiały, ale — jak do tej pory — pojęwczy. Kierownictwo Domu Kultury może tylko w pewnej mierze dbać o tych młodych ludzi, im potrzebna jest szkoła, nauka, zawód, nie wolno im tworzyć iluzji, że muzyka pozostanie domeną ich działania jedynego i wyłącznego. Jeden z tych chłopców umawiał się kilkakrotnie z człowiekiem, który znalazł dla niego pracę w zawodzie wyuczonym, lecz mimo to nie zjawiał się. Inny, jak wspominałem, wrócił za mury. Czy sprawy te załatwić może najsprawniejsze i najrozumnijsze bodaj kierownictwo PDK?

Sądzę, że dobrze rozpoczęty proces reedukacji wymaga teraz ingerencji czynników, które wespół z kierownictwem PDK poprowadzą dalej ten eksperyment, najtrudniejszy bowiem krok już został uczyniony.

Jak się sprawa rozwine, co będzie za rok, kim będą ci ludzie po upływie jakiegoś czasu? Na to trudno odpowiedzieć. Jedno jest wszakże pewne: już nadeszła pora, aby kierownictwo tego Domu Kultury, mające wielką zasługę w całej tej historii przestało być jedynym wychowawcą grupy młodzieńców, którzy już osiągnęli wiek dojrzały.

stojąc

nego, poetyckiego humoru nie jest jednak dziełem wybitnym. Mówi się w niej o dobroczynnych skutkach kłamstwa z litości, o potrzebie ochrania marzeń i złudzeń dla stworzenia iluzji szczęścia, czyli o sprawach w teatrze i literaturze nie nowych. Trochę zwirowany zakładant filantropijny, który podejmuje się uszczęśliwiać swoich podopiecznych przez zaspokajanie ich potrzeb psychicznych, ich szczęścia wewnętrznego, organizuje dla babki piękne kłamstwo o przyjeździe dobrego wnuka.

Prawdziwy wnuk, łotrzyk i kanalia opuścił w dramatycznych okolicznościach przed 20 laty dom swych dziadków przyłapany na kradzieży biżuterii. Dziadek spoliczkował go wtedy i wyrzucił. Wnuk zniknął w wielkim świecie i jedynie od czasu do czasu dochodzą dziadka wieści o jego burzliwym i przestępczym życiu w Kanadzie. Dla babki wnuk był wszystkim w jej życiu — źródłem wszelkiej radości — po jego wyjeździe pozostała ruina domu i pustka. I wtedy mąż przez 20 lat buduje misterne kłamstwo — pisze listy, przynosi wieści o wnuczku, który stał się rzekomo uczynnym i dzielnym człowiekiem. Ten mit utrzymuje babcię przy życiu, wypełnia pięknym marzeniem jej starość. Okoliczności zmuszają pana Balboa do ryzykownego przedsięwzięcia sfingowania odwiedzin kochającego wnuka w ich domu — czyli postaci stworzonej przez jego litosne kłamstwo dla szczęścia żony. Sielankę rodzinna rozpiera nieoczekiwany przyjazd prawdziwego wnuka, brutalnie ukazującego swoje oblicze i zadającego straszliwy cios iluzjom babki.

Trudno oceniać spektakl, na którym zaciążyła tak silnie wielka indywidualność Cwiklińskiej. Stworzyła ona wspaniałą i głęboko wzruszającą postać starej kobiety, której jedyną wartością w jej samotnej starości jest miłość do wykołowanego wnuka. Jest dobra i mądra, pełna werwy i humoru, a równocześnie dumy, męstwa i odwagi, gdy zraniono jej serce i odebrano wszystkie złudzenia. Cwiklińska kreuje te postacie z naturalnością i oszczędnością środków ekspresji, najmniejszym nawet gestem czy słowem wzmaga jej dramatyczność i wyrazistość. Siła bijąca z postaci babki Balboa żywotność i młodość ducha są może dlatego tak sugestywne, iż stanowią one przymioty osobiste wielkiej artystki.

W spektaklu na ogół wyrównanym, dynamicznym i błyskotliwym w całości mimo udziału w nim wielkiej gwiazdy doskonałym partnerem Cwiklińskiej był Czesław Strzelecki. Stworzył wyrazistą, pełną staroświeckiej elegancji sylwetkę dziadka Balboa z umiarem, dyskrecją i dowcipem. Nie pierwsza to jego wizyta w Rzeszowie — występował tu kiedyś gościnnie z zespołem Reduty. Więcej zresztą w tym spektaklu dobrych znajomych. Jerzy Duszyński, popularny amant z pierwszych polskich filmów powojennych gra rolę autentycznego wnuka. Nakreślił przekonującą postać kanalii bez skrępowań, zimnego, cynicznego tchórze, za pomocą nowoczesnego warsztatu aktorskiego. Kazimierz Biernacki, były dyrektor teatru w Rzeszowie był w sztuce zabawnym i wyrazistym pastorem. Ewa Pachonka w roli Marii Izabelli była może nieco zbyt liryczna i płacziwa, co niekoniecznie wynikało z charakteru tej postaci, a Andrzeja Grzybowski zbyt wyraźnie ukazywał, że udaje wnuczka, nadmiernie uzewnętrzniając brak uczuciowego zaangażowania w sytuację na początku wizyty. Cały zespół jednak stanowił na ogół godną oprawę — a to była w tym przedstawieniu konieczność — kreacji Mieczysława Cwiklińskiej. Dlatego warto te impresje ze spektaklu zakończyć cytatem z wypowiedzi Aleksandra Zelwerowicza z okazji jubileuszu Cwiklińskiej w roku 1950 w Teatrze Nowym w Warszawie: „Nasza wielka „Cwika” otrzymała od natury samorodny twórczy talent oparty o niefałszowaną prawdę artystyczną, idealną a bardzo własną technikę, wybitną inteligencję, wysoką kulturę duchową i towarzyską. Wszystkie te wartości... czynią z niej czołową, wielką artystkę o skali europejskiej w najlepszym tego wyrazu znaczeniu”.

JAN GRYGIEL

• Alejandro Casona: „Drzewa umierała stojąc”. Teatr Mały z gościnnymi występami Mieczysława Cwiklińskiej — Rzeszów, 9 listopada 1985 r. Inscenizacja i reżyseria: Emil Chaberski. Scenografia: Irena Lorentowicz. Obsada: Mieczysław Cwikliński, Ewa Pachonka, Andrzej Grzybowski, Czesław Strzelecki, Jerzy Duszyński, Kazimierz Biernacki, Ewa Radzikowska, Wanda Szepeńska, Irena Kuchalska, Antoni Marek. Organizacja WPiA Białystok i „Estrada” Rzeszów.

DESIRÉE SIEDZI NA BRZEGU STAWU, zanurzony w wodzie aż do pól uda swoje niekieształte, obnażone nogi. Stopami miska mu, zagłębiając grubą warstwę dno. Cierpliwie czeka na zarobek. Nie wymaga to od niej żadnych większych wysiłków, czy jakichś subtelnych zabiegów. W szarej i zimnej wodzie stawu spoczywa jej skarb. Czy są to może cenne dublony hiszpańskie, wrzucone tu kiedyś przez najemnych zbirów, pragnących ująć z życiem droższym, niż wszystko? Czy skarb ten odkryła Desirée w tajemnicy przed innymi i pragnie go stąd unieść? Nie, nie są to ciężkie, złote dublony, lecz lekkie, niby błyskawica zwinne, spragnione purpurowego soku — pijawki. Więc, by zdobyć ich dużo, Desirée musi pograć obie nogi w grząskim mule, a następnie skrzyżować ramiona i spokojnie liczyć ostre jak cięcia skalpela, bolesne pocałunki pijawek. Gdy naliczy już ich dostatecznie dużo, powoli i z wielką ostrożnością, aby nie utracić nic ze swej zdobyczy, wychodzi na brzeg. Tam odczepia zwierzątko jedno po drugim i wrzuca do kubki. Towar ten, dostarczany aptekarzom, jest lekiem dla ich klientów, a dla Desirée — źródłem utrzymania. Gdy obserwuje ona pęczniącą w kubie lepka masę, którą tworzą jej ofiary, wybucha śmiechem, przerywanym straszliwymi atakami kaszlu. Śmieje się bynajmniej nie dlatego, by miała kpić z naiwności złowionych pijawek — Desirée nie jest taka. Nie, po prostu z radości, że będzie mogła za to kupić sporo litrów czerwonego wina, które stało się dla niej codzienną koniecznością.

Wino jest jej pokarmem i podtrzymuje jej marzenia, będąc jednocześnie przynętą dla pijawek. Czyż nie jest to okoliczność niezwykle pomyślna? Wino dostarcza jej energii i odwagi, a oprócz tego daje piękna, gęstą krew, przyciągającą ssawki z całego stawu. Gdyby nie to, pijawki tak by do niej nie lgnęły. Krew zasilana winem jest dla nich takim magnesem.

Tym też Desirée próbuje usprawiedliwiać się przed ludźmi, którzy ją potępiają. Ale przeważnie nikt nie poświęca jej zbyt wiele uwagi. „To pijawka” — stwierdzają krótko. No tak, na pewno nią jest, ale tylko dlatego, by zapomnieć o swoim złym losie. Zdaje sobie przecież sprawę z tego, że jest bardzo brzydka. Ale o to można mieć pretensje do Natury, bo to przez jej fantazję Desirée urodziła się cała pokrecona. Jedna noga krótsza od drugiej; jedno biodro grubsze od drugiego; nierówne ramiona i w ogóle wszystko jak gdyby źle dobrane i przeraźliwie brzydkie. Nawet jej chód, podobny do kaczki, pobudza do kpin. Dobrze jest tylko to, że mimo swoich ukończonych trzydziestu lat, Desirée jest mała jak dziewczynka, co, jak to się jej wydaje, sprawia, że wszystkie braki są mniej widoczne. Można sobie tylko wyobrazić, że gdyby była duża kobieta, bardziej by się rzucała wszystkim w oczy. Jednym słowem ma szczęście w nieszczęściu, tak niefortunnie nazwana, Desirée. Ona lubi wszystkich, ale jej nie lubi nikt. Ach, żeby ją ktoś pokochał! Każdego wieczoru, nim zaśnie w swoim kącie na strychu, którego używa jej pan Cahuit, farmer z Genets, snuje swoje marzenia. Wyobrażenia podsuwa jej miłe obrazy: widzi się w ramionach pięknych chłopców; sam pan mer podzwarwia ją, kłaniając się nisko; wszyscy się do niej uśmiechają; może sobie poplotkować z innymi kobietami... Marzy się jej jeszcze tyle innych nieosiągalnych, a przyjemnych chwil.

Leżąc na swym twardym sienniku, Desirée umie sobie świetnie wyobrazić sytuację wspaniałą, a niemożliwą, ale jednocześnie dobrze widzi, że to możliwe, lecz niedzisiejsze; toteż za każdym razem śmieje się i płacze na przemian. Słysząc je ze swej przytulnej izby, której ciepło nie sięga do strychu, pan Cahuit mówi do żony: „Posłuchaj, co wyprawia ta pijawka Desirée; ona dotychczas jeszcze nie wytrzeźwiała...”. Tak właśnie mówi pan Cahuit.

Tego dnia Desirée wraca jeszcze raz nad staw. „To już ostatni raz” — obiecuje sobie i wchodzi do wody mimo ostabienia, które opanowało ją wraz z ustaniem działania wina. Jej kubek będzie jeszcze pełniejszy niż zwykle, a aptekarz da jej jeszcze więcej pieniędzy. Teraz może już zacząć marzyć i prawie czuć na sobie tę piękną spódnicę w niebieskie kwiaty i tę białą bluzkę z bufastymi rękawami które kupi sobie jutro, gdy się wzbogaci. Jakże wtedy będą się do niej uśmiechać i zalecać chłopcy! A jak szalenie będą jej zazdrościć kobiety! Mniejsza o to. Desirée tym się nie przejmując. Zresztą nie będzie przecież tak zła i nielitościwa, by sobie z nich kpić, przechodząc umyślnie blisko i w końcu usidlić któregoś z ich mężczyzn.

A więc jeszcze raz do wody przed zapadnięciem nocy! Jej kubek będzie pełny aż po brzegi... Trzeba korzystać, że ten lajdark Marcin, rakarz i oprawca starych koni, nie zjawił się tu dzisiaj, by robić spustoszenie na przeciwległym brzegu stawu. Zazwyczaj wprawdza on do wody, aż po same chrapy, starą szkapę pociągową, która w jednakowym z Desirée czasie zbiera na bokach sto razy więcej ssawek, niż ona w ciągu miesiąca na swych koślawych nogach. Ten Marcin ma podwójny zarobek przed ubiciem zwierzęcia, ma możliwość użycia go jako przynęty i zdobycia pokaźnej ilości pijawek. W gruncie rzeczy Desirée nie ma tu tego za złe, bo i czemuż by miał szczeniść tej końskiej krwi i tak idącej na marne? A co do pijawek, to nie są one przecież niczyją wyłączną własnością... Marcin ma tak poważnych hurtowych odbiorców, że gdyby zaczął tu się zjawiać częściej, Desirée musiałaby się wynieść z tej okolicy i długo szukać również dobrego stawu.

* Desirée oznacza po francusku „pożądana”.

Trzeba przyznać, że Desirée ma szczęście, bowiem akurat tego dnia, gdy zdecydowała się kupić sobie tę wspaniałą spódnicę i bluzkę, czuje, jak nogi jej robią się az ciężkie od pijawek. A w dodatku ten galgan Marcin nie zjawił się, by jej robić konkurencję. Wychodzi więc z wody, zręcznymi ruchami oczyszcza nogi i ponownie idzie na swój połów. Może to jest niezbyt rozsądne jeszcze raz wchodzić do wody w charakterze przynęty, ale czyż nie trzeba zaryzykować, gdy to jest konieczne?

Woda jest równie zimna, jak gęsta lawica pijawek, ale nie kłuje skóry ostrymi igłkami; zresztą to nie ma znaczenia, gdyż Desirée nie jest już na to zbyt wrażliwa. Czuje akurat tyle, ile trzeba, by wiedzieć, czy pijawki się przysysają. Nie lekceważy natomiast momentu, gdy przestaje już w ogóle cośkolwiek odczuwać, ani też pierwszego zawrotu głowy, będącego sygnałem wyzerpania.

Ta spódnica, którą kupi u handlarzy — Desirée wyobraża już sobie jej zdumioną minę — mogła być po prostu niebieska, wiaściwie kwiaty nie są konieczne. Niebieska... lub różowa... Ten kolor odmładza. A więc różowa... a czemu by nie z satyny? Będzie jeszcze bardziej podobna się mężczyznom. Pewnie lubią czuć pod szelmowskimi rękami

CLAUDE SEIGNOLLE



kami gładki szelészający materiał, gdy biorą kobyte w ramiona. Ach! Ramiona mężczyzny! Dość już, bo mimo chłodu idącego od nog Desirée czuje, że ją piękna polizki. To niedobrze... Jej krew nie po to jest w tej chwili, by barwić rumieńcem twarz, lecz by przyciągać te bestie. Teraz ona je żywi, a potem one odpłacają jej tym samym. Krew powinna wobec tego pozostać w lydkiach i udach. Ale cóż to? Desirée się zachwiała... Pewnie chciwe pijawki ssą wszystkie na raz...

...Czy jednak biała bluzka jest naprawdę odpowiednia, gdy się nie jest już zbyt młodą? Trzeba by się o to jakoś dowiedzieć. I w ogóle całe to szaleństwo z kupowaniem strojów! Chyba będą kosztowały więcej niż to, co Desirée dostaje za pełny kubek pijawek? Należy się nad tym zastanowić, obliczyć i nie powodować się próżnością. Jeszcze chwila cierpliwości i Desirée wyjdzie z wody. Cel, który sobie wytknęła, wart jest przecież tego wysiłku...

Ala teraz już dość, bo zamęt w głowie robi się coraz większy, najwyższy czas kończyć na dziś połów...

I oto Desirée wyskakując żwawo z wody na lśniąca, wilgotną trawę. Boże wielki, ile też pijawek obsiadło jej nogi! Och, jaka to lekka i wesola praca odrywać od skóry całe grona tych straszliwych ssawek, które wkrótce zamienią się w jasne obłoczyny Desirée, w jej wymarzonej stroji!

Co za zdobywczo! Jakże niesamowite łożo! Gdyby Marcin zobaczył ten połów, zachorowałby z zazdrości, choć Desirée nie życzy bynajmniej źle swemu rywalowi. Chodzi jej tylko o to, by zostawił jej zawsze tyle pijawek, aby mogła sobie kupić nową krawę, w butelce.

Już oswobodzona, Desirée drapie swędzące ranki, które bynajmniej nie upiększają jej nóg. Następnie wycierając je piękim trawą, postanawia, że spódnica musi być jak najdłuższa. Nic wówczas nie będzie widać.

Siemniła się, trzeba wracać. Desirée idzie szybko, rozglądając się na boki, jak gdyby się bała, że ją ograbią. Przecież nagle zrobiła się bogata! Nie tracąc czasu, udaje się do oberży, gdzie Chénaux przechowa jej skarb, a jutro...

Proszę. Chénaux akurat zaprzęga konia do bryczki... Jedzie do miasta... Mówi, że niedługo wraca i że jeśli Desirée sobie życzy, to może ją zabrać. Nie do wiary, jak dziś się wszystko składa według jej życzenia! W ten sposób jeszcze tego wieczoru będzie mogła sprzedać swoje pijawki i zaraz pójść do sklepu z sukniami, który się znajduje naprzeciwko apteki. Jak się to dzieje, że Chénaux stał się nagle tak uprzedzającym grzecznym? Zawsze dotychczas zachowywał się wobec niej jak gbur... Na pewno domyślił się, widząc jej radośny, świąteczny nastrój, że zżykuje ona dla wszystkich jakąś niespodziankę... Może zresztą ona sama zdradziła nieostrożnym słówkiem część swoich wspaniałych projektów? Trzeba uważać, inaczej jakąż to będzie niespodzianka?

Przyjechawszy do miasta, Desirée pospiesza do apteki, lekko i sprawnie mimo swoich kalekich, nierównych nóg. Aptekarz przyjmuje ją ze skwapliwą uprzejmością, jak gdyby już od miesięcy nie miał u siebie ani jednej pijawki. Świadczy o tym

ceła, jaką jej z radością ofiarowuje i którą z okragła w górę. Chyba jest zawstydzony, że dotychczas płacił jej zbyt mało i chce, by teraz sprawiedliwość stało się zadość.

Załatwiwszy sprawę, Desirée nie ociąga się. Opuściła aptekę i przeciąwszy ulicę, dumnie wchodzi do magazynu z konfekcją. Wybór tam jest tak ogromny, że Desirée jest szalenie zakłopotana. Nigdy by nie uwierzyła, że tak trudno jest coś kupić. Wszystko nęci wzrok. Nie marzyła o podobnej radości! O, dobra będzie ta skromna spódniczka koloru dzikiej róży! Desirée kładzie ją „Och” — woła właścicielka sklepu... „Och” powtarza Chénaux, który szelmowsko przygląda się jej przez wystawową szybę... „Och!” — słychać niby echo głos aptekarza, który ją podziwiał mimo dzielącej ich ulicy. Ich zachwyt jest szczerzy, idący prosto z serca, toteż trafia do serca Desirée.

„Tak, ta będzie w sam raz, a do niej o, to!” — mówi po chwili wahania, wskazując jedną ręką uroczą bluzeczkę, a drugą ręką ocierając iza napływające do oczu.

I spódnica, i bluzka tak świetnie leżą na Desirée i tak są jej do izarzy, że nie chce ich ani na chwilę zdjąć. Oddaje wszystkie pieniądze, które posiada, nie pytając o cenę nabytych rzeczy. Ten wspaniałomyślny gest sprawia, że właścicielka sklepu odprowadza ją z uprzejmym uśmiechem do samych drzwi. Na ulicy oczekuje na nią Chénaux, dumny z jej towarzysztwa i popatrzący drwiąco na zdumionego aptekarza.

Po powrocie Chénaux zatrzymuje swoją bryczkę przed oberżą i pomaga Desirée wysiąść, zupełnie jakby była wielką damą. Przyprawia ją to o zawrót głowy, omal nie mdleje z wrażenia, lecz szybko się opanowuje. Nie trzeba się tak wzruszać swoją osobą; teraz niech inni się wzruszają i oceniają jej nowo zdobytą urodę. Nikt jej już nie będzie zbywał byle czym, każdy jej wysłucha. A to, co chce ludziom oznajmić, zawiera się w trzech słowach: kocham was wszystkich.

Desirée pragnie, by każdy był tak szczęśliwy, jak ona! Właśnie przechodzi Marcin, trzymając za uźdę konia, skazanego na podwójną śmierć: raz pod pijawkami, drugi raz — pod obuchem. A tu znowu pan mer wychodzi akurat z sklepu i przeciera oczy, jakby ośniony widokiem Desirée. Ona zaś woła: „To naprawdę ja jestem!” i ujmując palcami brzeg spódniczki przysiadła przed nimi w żartobliwym dygu. Mer biegnie na plebanię... Zobaczy się z proboszczem, chociaż go bardzo nie lubi. A więc Desirée udało się to, o co inni na próżno się strali! Jak piękne jest życie! I to dzięki temu nowemu strojowi, który pozwolił rozbiysnąć jej urodzie i jej prawdziwie...

Proboszcz widocznie nie dał się prosić, a Desirée posłyszawszy pierwszy metaliczny odgłos dzwonu, zrozumiała: to dla niej, na jej cześć dzwonią! Zupełnie jak na jakieś święto, chrzciny czy ślub! Dzwony dla Desirée, wyłącznie dla niej! Huczą, uderzają jeden o drugi, coraz mocniej, coraz głośniejsze, aż musi zatykać uszy. Ze szczęścia i płacze, i śmieje się tak, że w końcu dostaje czkawki. To nie, Chénaux częstuje ją dobrym, starym winem, które Desirée pije wprost z butelki i to w obecności zebranych wokół niej ludzi. Oni zaś wcale nie są tym zgorznięci. Przeciwnie, zachęcają ją do tego i oklaskują, jak gdyby dokonała jakiegoś bohaterkiego wyczynu.

To wino i dzwony bijące tak mocno, że dzwonnik musi uważać, by go nie strącić w dół rozdygotane powietrze, budzą w Desirée coraz większe pragnienie. Chénaux nie jest sknerą, wie co to jest pragnienie. Natychmiast też podaje jej następną butelkę drogiego wina. Podeszła gdy ona rozkoszuje się winem, najurodziwsi chłopcy z okolicy walczą między sobą o jej względy... Ale ona chce tylko Chénaux. Jest pięknym mężczyzną, a ona już dawno po cichu w nim się kochała. Bo czyż nie ma on wszelkich warunków po temu, by się jej podobał? W tej chwili właśnie mruga do niej, dając jej znak, by poszła za nim do piwnicy... Naprawdę oni dwoje rozumieją się znakomicie. Tam, wśród baryłek wina, Chénaux bierze ją w ramiona i całuje tak mocno i namiętnie, że Desirée słabnie z rozkoszy i czuje, jak się pod nią uginają nogi. Potem Chénaux pokazuje jej, jak należy odkręcać krany drewnianych baryłek z winem. Uderzając w nie pięścią, wywołuje rezonans, świadczący o tym, jak dobrze są wypełnione. Dźwięki te są jeszcze bardziej ogususzające, niż dzwony. „Bum... bum... bum”.

Speszona tyłoma wspaniałościami, Desirée pada na kolana i obejmuje rękami jedną z baryłek. Dzięki Bogu, że nie rozdarta przy tym swojej pięknej spódniczki. Może dalej uwodzić Chénaux, ale jej tak się chce pić, że zapomina o nim. Przytyka usta do kranu i pije... pije... Wino bulgocze w jej gardle... glu... glu... glu... — Okropnie wygląda — rzekł dróżnik, podnosząc pusty brudny worek, którym przykryto ciało Desirée, leżące na brzegu stawu, z bruchem wzdętym od wody jak balon.

— „Spójrzcie na te obrzydliwe nogi...” Odważne musiały być pijawki, by się do nich przysysać...

Ciekawi, którzy tu przyszli na wiadomość o utonięciu Desirée, patrzyli z odrazą na jej nogi, ramiona i twarz pocięte przez pijawki. — Może raz chciała dolać sobie wody do wina... — rzekł jakiś dowiecpiński.

— Nie śmieć się — odrzekł drugi — musiała cierpieć walcząc z wchłaniającym ją mulem i tymi robakami, które przylgnęły do jej ust... Do diabła, co za ohyda!

Tylko sama Desirée mogłaby opowiedzieć, ile radości przeżyła w ciągu tych paru ostatnich chwil.



Rys. JERZY SIENKIEWICZ

DUMA NARODOWA

Stuchacze radiowej Muzyki i Aktualności, a to znaczy prawie wszyscy obywatele tego kraju, dowiedzieli się ostatnio, jak to nasza pewna miła rodzaczka, wzięta małżeńskim przypisanem do Francji, dzielnie a sprytnie poczyniła sobie w obronie naszego narodowego honoru.

Cesarz ma głos
Jak powszechnie wiadomo, w języku francuskim istnieje określenie „pijany jak Polak”, które, jak dotąd sądzono, tylko ujmę nam i wstydy przyniesi.

Otóż owa polska małżonka francuskiego obywatela znalazła inną, historycznie prawdziwą, a znacznie dla nas korzystniejszą wykładnię tego powiedzenia. Postanowiła ją upowszechnić. W tym celu, udając Greka (a to znów skąd pochodzi?), zwróciła się do radia francuskiego z zapytaniem, skąd właściwie wzięło się nieszczęsne: „pijany jak Polak”. Radio na falach eteru odpowiedziało sprytniej Polce i zarazem milionom francuskich słuchaczy, że to określenie ma bardzo długą historię. Ponoć Napoleon po zwycięskich bitwach miał zwyczaj raczyć swoją gwardię tym trunkiem. Gdy któregoś razu dokonał po takiej libacji nagłej inspekcji swoich gwardzistów, okazało się, że zwycięskie szranki leżą pokotem. Widok Jego Cesarskiej Mości był w stanie podderwać do pozycji baczność tylko... rdzennych Polaków. Wtedy to cesarz powiedział: — „Pijcie, gdy wasz czysty, ale panowie, bądźcie pijani jak Polacy!”.

Dziadówskie listy
Po tym akcentie optymistycznym czytelnik sam może się domyślić, że już przyszła pora na stwierdzenie, że, niestety, nie wszyscy obywatele w naszym kraju...

Ano, właśnie. Kto nie słyszał o naciągaczach, ślących na zagraniczne adresy żebrać listy. Jeden żyje w skrajnej nędzy i jest bezrobotny, w związku z czym prosi Pana Forda o samochód, ale żeby był biały. Inny skromnie, błaga Kochana Cioteczke o parę kilogramów aspiryny, bo w Polsce w aptekach nie ma, a to z dwóch powodów — raz, że się nie produkuje, a dwa, że aptek też nie ma. W dodatku klimat się wraz ze zmianą ustroju tak pogorszył, że cała rodzina od dziesięciu lat ma grype.

Przeciwdziałanie takiemu żebraćczemu procederowi bynajmniej nie należy do rzeczy łatwych. Jakim językiem należy do tych ludzi przemawiać? Czy rozumieją, jeśli się ich grzecznie poprosi: „Nie róbcie dziadów z siebie, a przy okazji z nas wszystkich”? Można wątpić. Toteż nie apele i perswazyje przykroćmy w końcu, a przynajmniej istotnie ograniczyły te praktyki. Zdziałaly to coraz liczniejsze kontakty zagranicznych krewnych z krajem. Mieli okazję zbadać na miejscu w Polsce niejedną „sprawę aspiryny”. Nie wierzą już tak łatwo biednej kuzynce i biednemu kuzynowi. Zmądrzeli.

Miłość do dewiz
Jak jednak zareagują na druczek reklamowy PeKaO, który pewnego dnia otrzymają razem z prenumerowaną polską prasą?

Nad porannym talerzem pożywej owsianki taka lektura może wzruszyć do łez:

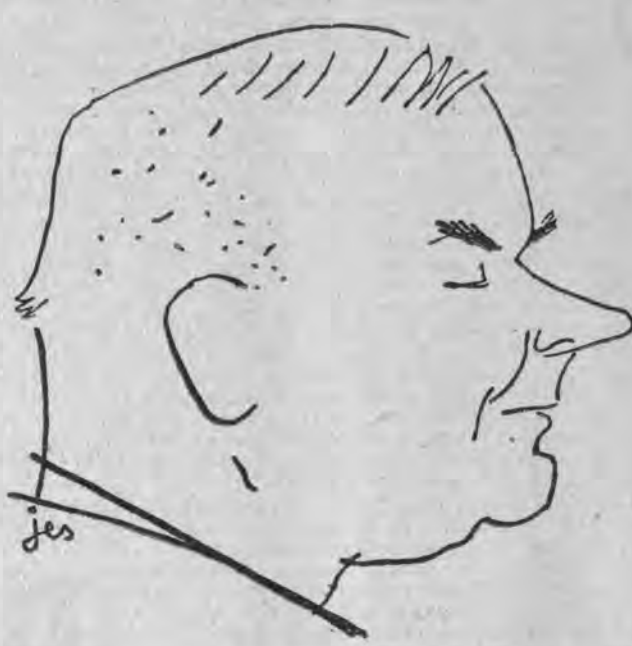
„Zima w Polsce jest ciężka — często Twój krewni — zwłaszcza ludzie starsi — mają trudności ze zdobyciem opału. Możesz oszczędzić im

tego kłopotu, wysyłając węgiel przez PeKaO”.

Przed oczami duszy rodaka na obczyźnie jawią się przejmujące obrazy. Szaleństwo śnieżnej zimy, wichura świszcze opętaniczo, a tu krewny w Polsce, człowiek w dodatku starszy i nieodporny na zimno, nie ma przy czym odgrzać sobie miski strawy lub czegoś innego. Walcząc z rozszalałą nawaliną, potykając się i padając na przemian, brnie krewny przez niekończące się zasypy śniegu w poszukiwaniu byle sztachety na opał.

I pomyśleć, że można mu tego wszystkiego zaoszczędzić, korzystając z usług Polskiej Kasy Opieki. London, Wigmore Street, I piętro, Telefon... Zażę: „Czas już najwyższy pomyśleć o prezencie gwiazdkowym i opale dla bliskich w kraju”. (Cytat z tegoż źródła).

Miłość do dewiz — to rzecz piękna i pożyteczna. Ale, panowie, nawet ona nie powinna być ślepa!
KSANTYPA



WOJCIECH WISNIEWSKI — inspektor szkolny, przewodniczący SAiW w Rzeszowie.
Rys. JERZY SIENKIEWICZ

zdarzenia tygodnia

W Rzeszowie powołano Wojewódzką Komisję Organizacyjną VII Olimpiady Wiedzy o Polsce i Świecie Współczesnym, organizowanej przez ZMS i ZMW. Obecnie odbywają się już eliminacje szkolne, które zostaną zakończone w marcu roku przyszłego. Następnie odbędą się eliminacje międzyszkolne. Zwycięskie drużyny staną 30 marca przyszłego roku do zawodów rejonowych. Do eliminacji wojewódzkich, które planuje się na 3 kwietnia zostaną zaproszone zwycięskie drużyny eliminacji rejonowych (komisja ustaliła 10 rejonów). Czteretapowy przebieg eliminacji pozwoli z pewnością na wyłonienie najlepszej drużyny, która godnie zaprezentuje nasze województwo podczas eliminacji centralnych. Obedą się one 23 i 24 kwietnia 1966 r.

Członkowie Klubu Miłośników Teatru, działającego przy ZDK Huty „Stalowa Wola” spotkali się 9 bm. z Juliuszem Kydryńskim, który mówił o aktualnych zagadnieniach teatru. Podczas spotkania odwołano z taśmy magnetofonowej fragmenty programu kabaretu Jamy Michałkowej.

W dniach 9 i 10 bm. odbyło się zorganizowane przez WKZZ i Wojewódzką i Miejską Bibliotekę Publiczną w Rzeszowie seminarium dla bibliotekarzy placówek związkowych i kierowników wydziałów powiatowych bibliotek publicznych. Uczestnicy zapoznali się ze służbą informacyjno-bibliograficzną. Mgr Jerzy Pleśniarowicz mówił o najnowszej literaturze radzieckiej. Później odbyło się spotkanie autorskie z Ernestem Bryllem.

Niedawno informowaliśmy o ogłoszonym przez przemyski Wydział Kultury konkursie na piosenkę o Przemysku. Pierwsze miejsce otrzymała piosenka „Moje miasto kochane” (tekst i muzyka W. Zalińskiego).

Ostatnio w Domu Kultury odbyło się praktykowanie piosenek konkursowych. Publiczność przemyskiej najbardziej podobała się wyróżniona na konkursie piosenka „Nocy cień” (muzyka Józefa Szantera do słów Mieczysława Nyczka), w wykonaniu Heleny Horbanek i tercetu Międzyzwiązkowego Ośrodka Kulturalno-Oświatowego.

Uczennica Liceum Ogólnokształcącego w Sędziszowie, Maria Choraży, będzie reprezentowała woj. rzeszowskię podczas eliminacji centralnych III Turnieju Czynnościowego ZMS i „Iskier”. Jest ona zwyciężczynią wojewódzkich eliminacji III Ogólnopolskiego Turnieju Czynnościowego ZMS i PW „Iskry” (eliminacje odbyły się w Domu Kultury Górnik-Natowca w Krośnie), w którym z woj. rzeszowskiego startowało około 5 tys. młodzieży.

20-lecie nauki i szkolnictwa wyższego

Zrzeszenie Studentów Polskich wspólnie z ZMS i ZMW w ramach Komisji Akademickiej TRZZ uczestniczy w obchodach 20-lecia nauki i szkolnictwa wyższego, które przypadają w październiku i listopadzie 1965 roku. Obchody zainaugurowano 22 października w Warszawie uroczystym zebraniem Zespołu Akademickiego Rady Naczelnej TRZZ, podczas którego omówiono główne zadania środowisk akademickich w dziedzinie dalszego rozwoju Ziemi Zachodnich i Północnych.

W tymże dniu odbyło się w sali Pałacu Prymasowskiego spotkanie profesorów i studentów z zastępcą przewodniczącego Rady Państwa i wiceprzewodniczącym Ogólnopolskiego Komitetu FJN — Stanisławem Kulczyńskim, który wręczył Odznakę Tysiąclecia Państwa Polskiego najbardziej zasłużonym działaczom studenckim uczelni polskiej zachodniej i północnej. Na spotkaniu omówiono 20-letni dorobek szkolnictwa wyższego i wkład w jego rozwój organizacji studenckich.

Główne uroczystości 20-lecia szkolnictwa wyższego Ziemi Zachodnich i Północnych odbędą się we Wrocławiu. M. in. zorganizowano zgrupowanie studentów wrocławskich, kiermasz skryptów, podręczników i książek akademickich, wystawy obrazujące dorobek uczelni Wrocławia. W ciągu całego roku akademickiego przewidziane są koncerty studenckich zespołów artystycznych w zakładach pracy.

Organizuje się także narady i konferencje naukowe: m. in. wojewódzka konferencja młodej inteligencji odbędzie się pod koniec listopada br. Tematem konferencji będą zagadnienia przygotowania do zawodu, warunków adaptacji w nowym środowisku, zaangażowania się do pracy społecznej i politycznej ZSP. Ukażą się studenckie zeszyty naukowe zawierające prace studenckich kół naukowych, związane z dorobkiem gospodarczym, społecznym i politycznym Dolnego Śląska. W Szczecinie rok akademicki 1965/66 ogłoszono jako „rok nauki i szkolnictwa wyższego” dla uczczenia 20-lecia powstania w tym mieście ośrodka naukowego. W związku z tym Zrzeszenie Studentów Polskich wykonało obchody do wytworzenia atmosfery rzetelnej nauki ukazania perspektyw zawodowych i społecznych absolwentów. Ogłoszono konkurs na najlepszego studenta roku, wydziału i uczelni pod hasłem: „20-lecie nauki polskiej w Szczecinie obchodzimy dobrymi wynikami w nauce”.

Wspólnie ze Szczecińskim Towarzystwem Kultury zorganizowany będzie w grudniu Wojewódzki Sejmik Młodej Inteligencji na temat: „Wkład absolwentów uczelni Szczecina w rozwój gospodarczy województwa”.

Z uroczystościami 20-lecia nauki i szkolnictwa wyższego Ziemi Zachodnich i Północnych połączono obchody tegorocznego Tygodnia Studenta, które odbywają się w dniach 10—17 listopada.

Dyskusje ♦ Polemiki ♦ Dyskusje

Opublikowany na łamach „Widnokręgu” artykuł red. Witolda Szymczyka pt. „Szansa nadal nie wykorzystana” spowodował, że postanowiliśmy, zachęcony przez redakcję, zabrać głos w dyskusji.

Ruch społeczno-kulturalny reprezentowany przez różnego rodzaju towarzystwa naukowe i społeczno-kulturalne należy zaliczyć do poczynających najbardziej szlachetnych. Członkowie towarzystw i ich działacze sporo czasu poświęcają sprawom swego miasta czy regionu, często kosztem dużych wyrzeczeń i poświęceń. Artykuł red. Szymczyka w prawidłowy sposób ujmuje stan i działalność naszych towarzystw regionalnych. Jest jednak sporo problemów niewyjaśnionych, które nurtują wielu działaczy.

Istniejące na naszym terenie regionalne towarzystwa naukowe oraz oddziały ogólnopolskich towarzystw w liczbie około 30 są trapiące różnymi bólami i trudnościami, których nie mogą często przezwyciężyć: może to nastąpić po publicznej dyskusji i podjęciu przez odpowiedzialne czynniki kroków zaradczych. Jedną z najważniejszych trudności w pracy towarzystw jest brak środków. Utała się opinia, że środków na kulturę jest mało, moim zdaniem jest inaczej: fundusze istnieją, są tylko często niewłaściwie wydawane i istnieją różne przeszkody w ich realizacji, które niejednokrotnie trudno ominąć. Niektóre towarzystwa, jak wynika z artykułu red. Szymczyka, „przegapiły” możliwość otrzymania dotacji z Wydziału Kultury Prez. WRN. Nie wiem skąd towarzystwa miały wiedzieć o możliwości otrzymania dotacji. Wydział Kultury bowiem nie wysyłał żadnej informacji. Znam wypadek, że jeden z oddziałów ogólnopolskiego towarzystwa działającego na Rzeszowszczyźnie w momencie przygotowywania poważnej imprezy naukowej, mimo kilkakrotnych prób, nie otrzymał pomocy.

Podjęcie akcji naukowych, wydawniczych czy oświatowych wymaga poważnych nakładów. O tym wiedzą wszyscy działacze. Jeśli takich środków towarzystwa nie otrzymają od swoich władz terenowych, to nie dziwnego, że są one martwe i nie mogą nic zdziałać, bo po prostu za co?

Ze środki odgrywają w takich poczynaniach najważniejszą rolę, przykładem mogą być Gorlice i Jasło. Nie ma tam regionalnych towarzystw, lecz gdy znalazły się fundusze, ludzie miejscowi przy pomocy naukowców z innych regionów, związanych często pochodzeniem z tym terenem, podjęli poważne publikacje,

o przejściu całkowicie na budżet Polskiej Akademii Nauk Oddział w Krakowie, stworzyła realne podstawy do pracy naukowej, zapewniła środki na zakup książek, działalność wydawnicza itp.

Działalność TPN ostatnio znacznie się ożywiła, odbywają się posiedzenia naukowe w sekcjach: historycznej, geograficznej - przyrodniczej czy nowo powstałej sekcji psychologiczno-pedagogicznej. Ukazał się w bieżącym roku X tom „Rocznika Przemyskiego”, podjęto wydawanie drugiego periodyku, wydano I tom „Materiałów do dziejów Ruchu Robotniczego w Przemysku”, w roku 1965 zorganizowano trzy sesje naukowe, jedną wydatkowo o tematyce ochrony przyrody, wygłoszono odczyty popularnonaukowe itp.

ANTONI KUNYSZ

Czy tylko nie wykorzystana szansa?

Towarzystwo Przyjaciół Nauk podjęło współpracę z innymi towarzystwami, zlecając np. przeprowadzenie badań z zakresu archeologii czy etnografii.

TPN w Przemysku i inne towarzystwa, które wydają publikacje, mają poważne trudności z ich sprzedażą. Państwowe Przedsiębiorstwo „Dom Książki” ma zakaz przyjmowania tego typu publikacji do uwowszeczniania. Dlatego też, gdy jakaś pozycja ujrzy światło dzienne, członkowie towarzystwa muszą ją sprzedawać we własnym zakresie. Niech ktoś z miłośników naszego regionu spróbuje zakupić wydawnictwa regionalne w „Domach Książki” na terenie województwa rzeszowskiego! Można je nabyć wyłącznie w siedzibach towarzystw w Przemysku czy w Rzeszowie. Nie każdy może jeździć za książką, która go interesuje, gdy w dodatku nie ma jeszcze odpowiedniej informacji na łamach prasy lokalnej.

Produkcja wydawnictw regionalnych jest wykonywana często w sposób „chałupniczy”, stąd cykl produkcyjny niektórych roczników trwa pięć lat lub nawet dłużej. Żadne z wy-

Jaki jesteś czytelniku?

(Ciąg dalszy ze str. 1)

dział pytał w bibliotece o wskazane przez nie książki. Trafiają one na półki dopiero za rok, a w najlepszym razie za 6 miesięcy. A ktoś po takim czasie będzie coś pamiętał z recenzji czy informacji?

Sami bibliotekarze także nie zawsze najlepiej orientują się w nowościach, nie więc dziwnego, że szary człowiek staje czasem bezradny przed problemem co czytać. Nazwiska autorów mówią mu niewiele, tytuły książek często nie odpowiadają zawartości, próbuje się więc na chybił trafił. Jeżeli weźmie właściwą, sięgnie po inne, jeżeli rozczaruje się raz i drugi — zrazi się na dłuższy czas.

Nie chcę i nie mogę dawać tu żadnych recept. Sprawy są zbyt złożone, by ogarnąć je jednym artykułem. Sygnalizuję je w nadziei, że znajdują one oddźwięk wśród zainteresowanych, że spod powłoki cyfr i sprawozdań (zresztą potrzebnych i pożytecznych) ukaże nam się czytelnik. Ze zacmiwuje zastanawiać się, jaki on właściwie jest. I jak mu najlepiej pomóc.

WITOLD SZYMZYK